



Program i koniunktura



Lech Mażewski

Być może ponownie nadchodzi czas, aby konserwatyści wywarli większy wpływ na politykę polską. Zależać to będzie zarówno od posiadanego przez nich programu, jak i koniunktury. W przeszłości przeważnie kończyło się to oblaniem przez konserwatystów egzaminu z polityki. Czy tym razem będzie inaczej?

W Królestwie Polskim ukształtowały się w latach 60. XIX w. dwa ośrodki zachowawcze: mniejszościowy skupiony wokół margrabiego Aleksandra Wielopolskiego i dominujący w prawicowej opinii, na którego czele stał hrabia Andrzej Zamoyski. Przed oboma stało to samo wyzwanie: wykorzystać koniunkturę stworzoną przez klęskę Rosji w wojnie krymskiej, co skutkowało rozpoczęciem reform wewnętrznych w carskim imperium oraz nawiązaniem współpracy w zakresie polityki międzynarodowej między Petersburgiem a Paryżem. Również liberalno-lewicowi Czerwoni, prący do powstania pod hasłem odzyskania niepodległości i uwłaszczenia chłopów, mogli swoim radykalizmem wzmacniać pozycję konserwatystów jako czynnika broniącego przed zbrojną zawieruchą.

Wielopolski, posługując się metodą odgórnego oddziaływania na władze rosyjskie i posilkując się groźbą wybuchu powstania, rozumiał, że niemożliwe było wówczas odzyskanie przez Polskę niepodległości, a jedynie można było próbować dokonać rekonstrukcji ustrojowej Królestwa Polskiego, co w przyszłości powinno umożliwić prowadzenie bardziej ambitnej polityki. I tu margrabia miał bezwzględnie rację. Słabościami jego zabiegów nie były przyjęty sposób uprawiania polityki czy polityczny minimalizm, ale brak propozycji radykalnego rozwiązania kwestii chłopskiej, gdyż taką nie było oczynszowanie rozłożone na kilkadziesiąt lat. Realizacja przez Wielopolskiego programu uwłaszczenia chłopów przez jednorazowe nadanie im ziemi pozostawiłaby Czerwonych jedynie z hasłem beznadziejnej walki z Rosją, co mogło skończyć się czymś podobnym do rabacji galicyjskiej z 1846 r.

Zamoyski jeszcze gorzej wykorzystał ówczesną koniunkturę polityczną, bo ugiął się pod szantażem powstańczym ze strony Czerwonych, nie będąc w stanie przeciwstawić się postulatowi walki z Rosją bez względu na wszystko. Przywódca konserwatywno-liberalnych Białych zamiast wspomagać margrabiego w realizacji reform, pozwolił na to, żeby jego zwolennicy znaleźli się na pasku sił radykalnych, a on sam na wymuszonej emigracji.

Stawką, o którą walczyli zachowawcy w latach 60. XIX w., było nie tylko dokonanie rekonstrukcji ustrojowej Królestwa Polskiego, lecz także takie rozstrzygnięcie sprawy agrarnej, które dałoby szansę oparcia w przyszłości polityki konserwatywnej na masach uwłaszczonych chłopów. W efekcie musiałoby to doprowadzić do sytuacji, w której prawica mogłaby stać się samodzielnym podmiotem polskiej polityki w ramach nieuchronnej demokratyzacji stosunków społecznych. Klęska powstania styczniowego była równoznaczna z wyeliminowaniem obu ośrodków konserwatywnych z wpływu na polską politykę.

Równolegle Austria po przegranej w 1859 r. wojnie z Francją i Piemontem, a następnie klęsce w starciu z Prusami w 1866 r. rozpoczęła reformy ustrojowe, których kierunek kilkakrotnie się zmieniał. Galicyjscy zachowawcy początkowo popierali program federalizacji naddunajskiej monarchii, aby w końcu być zmuszonymi przyjąć dość minimalistyczną propozycję autonomii dla ziem polskich w ramach dualistycznej monarchii Habsburgów. Traktowano to jednak jako rozwiązanie przejściowe, wiodące do utworzenia trialistycznej monarchii: austro-węgiersko-polskiej, powiększonej przynajmniej o Królestwo Polskie.



■ Tym razem metoda odgórnego oddziaływania na władzę z wykorzystaniem koniunktury międzynarodowej przyniosła korzystny dla Polski efekt.

Dopóki w Austrii i samej Galicji obowiązywało kurialne prawo wyborcze, dopóty dominacja polityczna krakowskich konserwatystów (zwanych stańczykami) była oczywista. Jednak na początku XX w. nie dało się już powstrzymać zmian w kierunku demokratyzacji prawa wyborczego, a to spowodowało, że nie byli oni w stanie dłużej ukryć tego, iż nie są stronnictwem o masowym poparciu. Próba zakorzenienia w masach nie powiodła się, a polityczne znaczenie galicyjskich zachowawców zależało głównie od przychylności ze strony zarborczej władzy, głównie samego cesarza Franciszka Józefa.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej stało się jasne, że doprowadzenie do przebudowy monarchii habsburskiej na trialistyczną jest niewykonalne; przeciwni temu byli zarówno Niemcy, główny sojusznik Austro-Węgier, jak i Węgrzy, którzy nie chcieli zrezygnować ze swojej uprzywilejowanej pozycji w ramach dualizmu z 1867 r. Dopuszczenie Polaków do współrządzenia państwem habsburskim na zasadach trzeciego członu federacji okazało się mrzonką stańczyków, podobnie jak idea powiększenia tego państwa o Królestwo Polskie. Słowem – przyjęty przez krakowskich konserwatystów sposób rozwiązania sprawy polskiej zakończył się kompletnym fiaskiem.

W OKRESIE DWUDZIESTOLECIA MIĘDZYWOJENNEGO

W latach 1918–1939 rola polskich konserwatystów ograniczyła się do mało skutecznych prób oddziaływania odgórnego na politykę dominujących sił politycznych; do zamachu majowego głównie przedmiotem zabiegów zachowawców była narodowa demokracja, po maju 1926 r. zaś obóz sanacyjny. Trzeba powiedzieć, że przynajmniej w zakresie spraw ustrojowych przedstawiciele środowisk konserwatywnych, szczególnie epigoni stańczyków, wywarli pewien wpływ na rozwiązania konstytucyjne, co widoczne jest w ustawie konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 r.

Zatem i po zamachu majowym o skorzystaniu przez konserwatystów z istnieją-

Na przełomie lat 80. i 90. XX w. istniała koniunktura na zbudowanie stronnictwa konserwatywnego

cej koniunktury zdecydowało posiadanie atrakcyjnego z punktu widzenia rządzących elementu programowego. Natomiast jeśli szło o budowę własnej pozycji, to okres pozostawania w elicie władzy, czyli do śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, został całkowicie przez zachowawców zmarnowany. Znaczenie majątku i rodowych koneksji ważyło coraz mniej w polityce, co nie znaczy, że w ogóle stawało się nieprzydatne. Polscy konserwatyści nie byli chyba w stanie tego zrozumieć.

Czy środowisku „Buntu Młodych”/„Polityki” z Jerzym Giedroyciem na czele, które pod koniec lat 30. ubiegłego wieku próbowało uprawiać politykę konserwatywną w oparciu o model odgórnego oddziaływania na sanacyjną władzę, mogłoby się udać uzyskać coś więcej niż ich poprzednikom, a na przeszkodzie stanęła jedynie klęska Polski we wrześniu 1939 r.? Trudno to rozstrzygnąć, ale brak było jasnego przesłania programowego, poza wezwaniami do budowy mocarstwowej Polski. Jak na grono ludzi przekonanych o posiadaniu wyjątkowych kwalifikacji do wpływania na życie publiczne to po prostu za mało, żeby móc odpowiedzialnie decydować o losach państwa. Jednak nie wiadomo, co by się z nimi ostatecznie stało, gdyby wojnę przeżył Adolf Bocheński, najwybitniejszy publicysta polityczny tego środowiska, który zginął pod Ankoną we Włoszech w połowie 1944 r.

NA PRZEŁOMIE STULECI

W połowie lat 80. ubiegłego wieku wydawało się, że rozpoczął się w Polsce proces odbudowy prawicy. Środowiska „Głosu”, „Res Publiki”, „13 grudnia” i „Polityki Polskiej” przyjęły za swój pogląd sformułowany przez Jacka Bartyzela, jednej z czołowych postaci Ruchu Młodej Polski, że nie chodzi o walkę z państwem, ale walkę o państwo. Wynikało z tego uznanie PRL za państwo polskie, które należy poddać procesowi kompleksowej reformy, odrzucając jednocześnie jałowe wezwania

przywódców solidarnościowego podziemia do strajku generalnego, który miał doprowadzić do powstania samorządnej Rzeczypospolitej z programu oliwskiego zjazdu NSZZ „Solidarność”. Temu właśnie miała służyć działalność zarejestrowanego w 1988 r. stowarzyszenia Dziekania, kierowanego przez Stanisława Stommę, lidera niedysyjszego ruchu Znak.

Bez wątpliwości na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku istniała koniunktura na zbudowanie głównie w oparciu o dorobek ideowy i zasoby kadrowe RMP stronnictwa konserwatywnego o szerokim poparciu społecznym. Środowisko to podjęło próbę syntezy dorobku polskich konserwatystów i przedstawicieli narodowej demokracji, co torowałoby drogę do powołania nowej formacji prawicowej. Temu właśnie miało służyć istnienie Dziekanii. Wkrótce okazało się, że Stommie znacznie bliżej było do środowisk liberalno-lewicowych skupionych wokół Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie niż do podjęcia rzeczywistego wysiłku na rzecz odbudowy polskiej prawicy. Także Aleksander Hall, lider RMP, wcześniej odwołujący się do tradycji narododemokratycznej, podjął tę samą decyzję, stając się członkiem rządu Tadeusza Mazowieckiego. Dziekania okazała się płodem martwo urodzonym, niczego nie osiągnąwszy, choć sukces tego typu inicjatywy wydawał się oczywisty, i to mimo dokonania wcześniej zwrotu w kierunku politycznego realizmu.

Część działaczy ówczesnej prawicy doprowadziła do powołania pod koniec 1989 r. Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, ale po różnych perypetiach i już w nieco innym składzie, jako Przymerze Prawicy, podporządkowali się oni Jarosławowi Kaczyńskiemu, wchodząc w 2002 r. do PiS. Prezes PiS z polską prawicą niewiele ma wspólnego, będąc eksponentem raczej idei i praktyki etatystycznego obozu piłsudczykowski. W rezultacie kolejny raz zatriumfowała nieco zakamuflowana niepodległościowa lewica, będąca spadkobierczynią Czerwonych, Organizacji Bojowej PPS z okresu rewolucji 1905 r. czy I Brygady Legionów Polskich, nad niezdolną do prowadzenia własnej polityki prawicą.

Nawet zachowanie tradycyjnych zasad obyczajowych czy moralnych w życiu publicznym Polski wynika bardziej z aktywności innych podmiotów, w tym



Jana Pawła II i Kościoła w ogóle, pewnej zachowawczości większości Polaków czy małego w przeszłości radykalizmu w tych sprawach Sojuszu Lewicy Demokratycznej niż nacisku samych konserwatystów. Obecnie może się to zmienić, co związane byłoby z próbą dostosowania Polski przez rząd Donalda Tuska do wzorców liberalno-lewicowych generowanych zarówno w USA, jak i przez gremia kierownicze Unii Europejskiej.

Niewątpliwy sukces polscy konserwatyści po 1989 r. odnieśli w przestrzeni metapolitycznej. Liczby pism, fundacji czy stowarzyszeń podejmujących tam aktywność, ale także sam efekt tych wysiłków, nie da się porównać z niczym, z czym wcześniej mieliśmy do czynienia – mimo posiadanych majątków i rodowych koneksji polskich zachowawców. Jednak uzyskania rzeczywiście imponujących efektów w przestrzeni metapolitycznej nie należy mylić z powstaniem programu stricte politycznego. Tu akurat sytuacja jest taka sama jak na przełomie lat 80. i 90. Gdyby zapytać któregoś z konserwatystów, co ma do zaproponowania Polsce, nie uzyskalibyśmy żadnej sensownej odpowiedzi. Jałowe wezwania do obalenia panowania demoliberałów albo marnie ukrywaną chęć pójścia do nich na polityczną służbę, przy zachowaniu odrobiny ideowego kolorytu, trudno za taką uznać.

ROK 2025

Jeśli kiedykolwiek polski konserwatyzm ma odegrać jeszcze jakąś rolę polityczną, to jego przedstawiciele nie mogą tylko jak równy z równym toczyć boju z lewicą czy liberałami w przestrzeni metapolitycznej, lecz także muszą być w stanie odpowiedzieć na pytanie: Co robić? Bez tego bowiem nie ma możliwości uprawiania polityki, szczególnie na zasadzie odgórnego oddziaływania na władzę, bo inny na razie nie wchodzi w grę. Aczkolwiek w sprzyjających okolicznościach, które niedługo mogą się pojawić, można by podjąć próbę działalności politycznej w oparciu o rozbudowaną infrastrukturę społeczną.

Taką koniunkturę w wymiarze międzynarodowym może stanowić chociażby forsowana federalizacja UE. Jedynie konserwatywni publicyści skupieni wokół „Do Rzeczy” rozumieją, że należy wykorzystać to dla podkreślenia znaczenia

suwerenności państwowej Polski i walki o prowadzenie niepodległej polityki, w miejsce zastanawiania się, jak ratować UE przed nią samą. Postulują oni, aby nie obawiać się przy tym oskarżeń o wezwania do dokonania polexitu, bo dalsze istnienie państwa jest ważniejsze. Towarzyszy temu fakt, że zamiast rytualnego labidzenia o zagrożeniu ze strony Rosji otrzymujemy realistyczne stanowisko w sprawie wojny nad Dnieprem i w ogóle wobec Ukrainy. Jest szansa, że publicyści ci nie ulegną ani unijczykom tworzącym rząd Tuska, ani hałaśliwym antyrosyjskim patriotom z PiS. Ci pierwsi są tak niezdolni postępowi, że jest to zwyczajnie niemożliwe; w przypadku tych drugich nieustannie stosowany przez nich powstańczy szantaż, mający na celu doprowadzenie do ugięcia karku

Dla środowisk konserwatywnych wielkie znaczenie mogą mieć wybory prezydenckie w 2025 r.

przez konserwatystów przed kolejnym wcieleniem obozu Czerwonych, nie powinien być skuteczny, skoro szantażowani nie chcą się temu poddać, co, niestety, wcześniej się zdarzało.

Dla środowisk konserwatywnych wielkie znaczenie mogą mieć wybory prezydenckie w 2025 r. Jeśli po raz kolejny z rządu – po wyborach samorządowych i do Parlamentu Europejskiego, co będzie miało miejsce w połowie 2024 r. – przegra je PiS, to partia Kaczyńskiego ulegnie dekompozycji, jak stało się to ponad 30 lat temu w przypadku Porozumienia Centrum. A w takiej sytuacji otwierałoby się pole dla nowych inicjatyw politycznych na prawicy, w tym z pewnością także dla konserwatystów. Byle tylko nie powtórzyła się sytuacja z końca zeszłego stulecia, kiedy to bycie na marginesie obozu liberalno-lewicowego czy niepodległościowej lewicy miało większą wartość niż próba tworzenia własnej formacji.

Kandydat PiS może jednak wygrać wybory prezydenckie, choć dziś bardzo niewiele na to wskazuje. W 2015 r. też

wydawało się, że Andrzej Duda nie ma żadnych szans, a jednak stało się inaczej i zupełnie do tego nie było potrzebne posiadanie mediów publicznych. W efekcie nastąpiłby chaos w sprawowaniu władzy publicznej w Polsce, o czym pisałem już w „Do Rzeczy” (nr 46/2023). Bez głębokiej reformy konstytucji by się nie obeszło, a być może nawet byłaby zgoda co do uchwalenia nowej ustawy zasadniczej. Nie będzie można jednak skorzystać z tej koniunktury, nie posiadając własnego programu ustrojowego.

Paradoksalnym sojusznikiem w odbudowie znaczenia polskich konserwatystów mogliby być następcy Czerwonych, i to mimo zrozumiałej niechęci, którą wzbudzają oni wśród zwolenników polityki rozumianej jako rodzaj racjonalnej działalności, a nie metody pobudzania masowych emocji, wiodących częstokroć w przeszłości do wybuchu walki zbrojnej prowadzonej w imię niemożliwych do osiągnięcia celów. Jednak antyrosyjscy patrioci musieliby stać się rzeczywistym zagrożeniem dla rządu centrolewicowego, z którym nie byłby on w stanie sobie poradzić, a dziś niewiele na to wskazuje. Mógłby to być odpowiedni moment na szersze przedstawienie posiadanego programu, a może nawet podjęcie próby wpłynięcia na dysponentów władzy w celu jego realizacji. Należy przy tym bardzo uważać, żeby nie ulec zbyt dobremu mniemaniu na swój temat, co przytrafiło się Giedroyciowi i jego współpracownikom pod koniec lat 30., szczególnie jeśli nie ma do tego dobrych podstaw.

Polityka polska obejdzie się bez udziału konserwatystów, chociaż jest ona przez to uboższa. Tak jednak nie musi być. Istniejącej koniunktury i tej, która może się jeszcze pojawić, nie da się wykorzystać bez posiadania programu. Trzeba ponadto wyciągnąć wnioski z klęski, którą poniosły środowiska prawicowe w Polsce na przełomie stuleci, ale też ustrzec się przed egoizmem klasowym, który zgubił Wielopolskiego, czy niepotrzebnymi złudzeniami co do własnej wartości. Pewnie, że dla uprawiania polityki trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, ale żeby się one mogły pojawić, należy najpierw dysponować jakimś choćby zarysem programu, bo inaczej z istniejącej koniunktury skorzystają inni.